

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 12 WRZEŚNIA 1915

NR. 7.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Mogily pod Konarami.

Fot. J. Lange.

SACRA LUCIS FAMES.

Światła! Więcej światła!..

Goethe.

Kiedy 5 sierpnia wojska rosyjskie wyparte z Warszawy, na łeb na szyję cofały się ku wschodowi, cała Polska z zapartym oddechem spozierała ku swojej stolicy w oczekiwaniu, jak w okolicznościach nagle zmienionych zachowa się, co w nowych warunkach pocznie Warszawa? Czy znajdzie w sobie ogromny zasób hartu, zimnej krwi, godności — niezbędny w jej trudnem położeniu?

Jeszcze nie upłynął miesiąc, a Warszawa, pokazała na co ją stać i czem zdolna być w przyszłości: jeden po drugim składa najwymowniejsze dowody panowania nad sobą, ładu, karności, energii w tych wszystkich dziedzinach życia, w których ma na razie już wolną rękę. Wszak nie byłoby nic dziwnego, gdyby całe pokolenie „urodzone w niewoli, okute w powiciu“, odcięte zupełnie od najprostszych swobód obywatelskich, odzwyczajone od wszelkiej szerszej działalności publicznej, okazało było tępą, bierną bezradność i zanik zmysłu organizacyjnego. Jest wręcz przeciwnie! Społeczeństwo to skrupowane i ubezwładnione od pół wieku wydobywa z siebie nieużyte, niewyczerpane skarby dzielności: stwarza sprężysty zarząd miejski, zaprowadza wzorową ochronę bezpieczeństwa publicznego i wymiar sprawiedliwości, rozwija gorączkową czynność, aby złagodzić najdotkliwszą nędzę wojenną a po tych pierwszych, najbardziej piekących potrzebach dnia bieżącego, zwraca oczy na to, co jest najżywotniejszą potrzebą duchową cywilizowanych narodów — na szkołę! Niczem polityczny ucisk, niczem gwałty i bezprawia czynownictwa, „niczem Sybir, niczem knuty“, ale ta umyślnie i tak umiejętnie przez Rosyę hodowana ciemnota, tak starannie zabezpieczona przepisami wszystkich Apuchtinów i Schwarców, aby jej snadź nie nadwątlili jaki promień oświaty, owa szczelnie zasłonięta *camera obscura*, w której władze rosyjskie trzymały naród polski — „to dopiero bólów ból“, to krzywda krzywd naszych!

„Własi' Tmy“ — Potęga ciemnoty, ów kamień węgielny rosyjskiego systemu państwowego, przytłaczającym głazem leżała na polskich piersiach, przywalała polskie mózgi. W mrokach i zaduchach analfabetyzmu wyrastały nakształt jadowitych grzybów i strupieszających pleśni, wszystkie polskiego ludu niegodne, bezmyślne zabobony i ogłupiające przesady, aż w końcu dochowała się u nas Rosya iście rosyjskiego sekciarstwa: Kozłowityzmu; na podkładzie rosyjskiej zgnilizny legły się w tych ciemnościach ohydne gady prowokatorskiego Azefizmu, czaił się w nich potworny, krwawy bandytyzm, okupujący się łapówkami żandarmskim „stróżom bezpieczeństwa“.

— „Nasze miasto jest miastem analfabetów, nasz kraj — krajem analfabetów“ — powiedział nowy prezydent Warszawy X. Zdzisław Lubomirski, słowa, które są najcięższem oskarżeniem rzuconem za Rosyą wynoszącą się z granic Królestwa Polskiego; analfabetyzmu bowiem ona w ziemiach polskich nie zastała — ona go stworzyła umyślnie i wypielęgnowała troskliwie; dość powiedzieć, że z końcem XVIII w. przypadała jedna szkoła średnia na półpięta tysiąca mieszkańców, a w ostatnich latach pod rządem rosyjskim — jedna na ośm tysięcy! W podobnej mierze cofnęła Rosya oświatę polską na polu szkolnictwa ludowego, nie pozwalając na otwieranie szkół jawnych, tropiąc gorliwie tajne, a ich założycieli prześladowając jak politycznych zbrodniarzy. Gdy zaś klęską japońską wymuszona Konstytucya październikowa dopuściła do zakładania szkół i gdy Macierz Szkolna miliony zebrała, by szkół stworzyć tysiące — rząd czyhał tylko na sposobność i pozór, któryby mu pozwolił Macierz rozwiązać a szkoły zamknąć. Poczuwszy się na siłach, władze rosyjskie nie omieszkały spełnić tę swoją „misyę cywilizacyjną“, a bezbronne społeczeństwo musiało zęby z bólu zacisnąć i patrzeć jak wspaniałą jego pracę oświatową rząd niweczy.

Niedawno, znowu pod grozą wojny, spadło trochę ulg w dziedzinie szkolnictwa i zaraz ta niczem nie zrażona, w ofiarności swej niewyczerpana Warszawa w trzy dni krocie sypnęła dla ubogiej młodzieży „na wpisy szkolne“. Coby z tych ulg pozostało w razie rosyjskiego zwycięstwa — wiadomo; dość że Warszawa skorzystała z chwili wolniejszego oddechu, by zrobić wszystko co była powinna i co tylko mogła.

Teraz powalona runęła potęga Rosyi a z nią potęga ciemnoty. Pierwszy odruch społeczeństwa polskiego, skoro się przekonało, że może ręką ruszyć — był dziwnie wymowny: sięgnęło po elementarz!



Artur Grotiger

Szkola polska.

porywa się Warszawa. Wojna, upadek przemysłu, handlu, rzemiosł, zastój nieunikniony we wszystkich stosunkach pieniężnych, niepewność politycznego jutra, wszędzie świeże i bolesne straty i szkody po wojennej burzy, która jeszcze huczy w oddali — wszystko to nic: Warszawa chce mieć i będzie miała czterysta szkół. Wydział Oświecenia — nieodrodny potomek dawnej Komisji Edukacyjnej — oblicza wydatki na oświatę potrzebne na 1,600.000 rubli, w które wchodzi, obok szkół ludowych, otwarcie uniwersytetu i politechniki. Warszawa opodatkuje się, wycisnie z siebie ostatni grosz a głód światła zaspokoi.

A książki szkolne? a siły nauczycielskie? Jakichże cudów zapału, niezłomnej woli, bezprzykładnej pracy będzie trzeba, jeśli się ma tym wszystkim brakom zaradzić i jednym skokiem, odrazu tam stanąć, gdzie szczęśliwsze społeczeństwa dochodziły dziesiątkami lat! Kto Warszawę zna — nie wątpi, że jej nie zabraknie ofiarności, rozmachu i wytrwania w tem olbrzymim postanowieniu, które doprowadzone do skutku, musi wprawić w podziw i swoich i obcych.

Niechaj zapisze historia, że wyrwana z pod rosyjskiego jarzma stolica Polski, w pierwszej chwili ocknienia się i opamiętania po przeżytych dziejowym przewrocie zerwała się ku światłu i zanim jeszcze ziemia obeschła z potoków krwi, zanim zgłiszczą dymić przestały, warszawskiej dziatwie już włożono w rękę elementarz. Niech to zapisze historia i niech powie świat, czy lepszej niegodzien przyszłości naród, który stanął w takich czasach do boju z narzuconą sobie ciemnotą?

LUCYAN RYDEL: PROMETEUSZ.

NAKSZTAŁT ROZPOSTARTEGO SINYCH GÓR ŁAŃCUCHA
OD WIEKÓW LEŻY CIAŁO SPĘTANE OLBRZYMA;
LEGE — Z BÓLU SIĘ NIE MIOTA, Z GNIEWU SIĘ NIE ZZYMA,
Z LWIEJ PIERSI W NIEBO KRZYKIEM WIELKIM NIE WYBUCHA!

CZŁONKI MU BEZLITOSNA CHŁOSZCZE ZA WIERUCHA
I PRZEMOC GO W KAJDANACH NA UWIEZI TRZYMA,
LE CZ OLBRZYM, Z ROZWARTEMI BOLEŚNIE OCZYMA,
CIERPI, NAPIĄWSZY W SOBIE MOC NIEZŁOMNĄ DUCHA.

OBSIADŁY GO I TRZEWIA TARGAJĄ MU SEPY
AŻ IM Z DZIÓBÓW KREW CZARNA SOPLAMI OCIEKA;
KRACZĄ NAD NIM I W TWARZ MU WZROK WBIJAJĄ TĘPY...

A JEMU W MECE NAWET NIE ZADRGNIE POWIEKA,
BO NIEŚMIERTELNY TYTAN, CHOĆ SZARPANY W STRZĘPY,
ZNA SWOJĄ NIEŚMIERTELNOŚĆ — WIERZY W NIĄ I.. CZEKA!

CZWARTY PUŁK LEGIONÓW.

Od dawna, bo od roku blisko zapowiadany i oczekiwany, jeszcze z końcem r. 1914 pozwoleniem Naczelnej Komendy Armii legalizowany, z wiosną b. r. powstał Czwarty pułk piechoty Legionów polskich. Związkiem jego stał się jeden z najdzielniejszych batalionów 2. p. piechoty, batalion podpułkownika Roji; wypróbowani w bojach Karpatczycy, połączyli się z nowymi ochotnikami z Królestwa Polskiego, z batalionem kapitana Galicy, tworząc kadry pułku, któremu już sama nazwa, budząca tyle wspomnień historycznych, nałożyła obowiązek wyjątkowej wytrwałości i bitności.

Znaczenie Czwartego pułku wystąpi wyraźnie w naszych oczach, jeżeli zastanowimy się nad materiałem ludzkim, wchodzącym w skład Legionów i nad różnicami między poszczególnymi pułkami. Pierwsza brygada składa się prawie wyłącznie z materiału przygotowanego przed wojną, ze starych niepodległościowców, pepesowców, bojowców, rewolucjonistów z r. 1905. i związanych z nimi ideowo żywiołów z młodzieży galicyjskiej.

Piłsudczycy, wkraczający 6-go sierpnia 1914. do Królestwa, składali się głównie z inteligencji, z młodzieży akademickiej, lub gimnazjalnej. A chociaż robotnik polski i chłop — zwłaszcza z Podhala — stanowił i dziś jeszcze stanowi znaczną część I. Brygady, to na plan pierwszy wybija się, zwłaszcza wśród oficerów, czynnik, który należałoby określić jako szlachecki proletaryat, czy sproletaryzowaną szlachtę, czynnik odgrywający wogóle pierwszorzędną rolę w Królestwie, świadcząca z jednej strony o żywotności warstwy szlacheckiej, której przedstawiciele, oderwani od ziemi, umieją odegrać rolę kierowniczą nawet ...w partiach socjalistycznych, z drugiej strony o tem, że jeszcze społeczeństwu naszemu daleko do demokratyzacji. Tego rodzaju refleksje nasuwają postacie Beliny, Wieniawy, Lubicza i innych, których pseudonimy nie są przydomkami szlacheckimi.

Ta żywotność, ten chlubny udział ludzi szlacheckiego pochodzenia w Legionach, jest oczywiście objawem

czył, stanowi warstwę zbyt indywidualną, żeby mogła poprzestać na tradycji zaszczerpionej sobie ponieważ sztucznie, teoretycznie. Stan chłopski społecznie z nadto jest samodzielny, ażeby potrzebował i mógł przyjąć ideologię wytworzoną bez jego udziału. A z drugiej strony brak tradycji historycznej mógł sprawić, że chłop nasz, któremu rocznicowy patryotyzm nie może wystarczyć, pozostałby ludem, nie będąc narodem, a wtedy Polska stałaby się niczem więcej, jak literacką ideą, nie mającą podstaw w życiu.

Dlatego udział chłopów w walce o Polskę jest najważniejszą sprawą dzisiejszej chwili, jest sprawą unarodowienia ludu i ugruntowania idei narodowej na podstawach niezniszczalnych, a tem samem naprawienia zasadniczego błędu Rzeczypospolitej, która ograniczała się do jednej tylko warstwy, istniała dla jednej tylko klasy — szlacheckiej. Co się drogo kupuje, to się kocha i ceni, więc każda kropla przelanej za Polskę krwi chłopskiej, jest bezcennem pomnożeniem narodowego dobra.

Dzisiaj chłop polski tworzy wraz z innymi warstwami historię, wywiera wpływ na charakter wojsk naszych, nie tylko ilościowo, jako niezrównany szeregowiec, ale w wybitnych jednostkach, które z ludu wyszły, narzuca swoją indywidualność całemu narodowi. Obok całego szeregu ludzi, z szlacheckim nazwiskiem i szlacheckim temperamentem, pojawili się bohaterowie z chłopskimi nazwiskami, z chamskimi często manierami, które zresztą nikogo w polu nie zgorzą.



Loaleta poranna

Fot. z nat.

radosnym i budzącym otuchę. Ale nierównie ważniejszym jest stosunek chłopca do sprawy, jest od Kościuszki piastowany w duszy polskiej ideał chłopca walczącego za Ojczyznę. Inteligencja, mieszczaństwo, a nawet proletaryat miejski, żyją okruczami szlacheckiej tradycji, ale chłop, który w historii polskiej nie uczestni-

Powyższe uwagi odnoszą się do całych Legionów, bo w każdym pułku, w każdym batalionie i kompanii walczą obok przedstawicieli innych warstw społecznych także przedstawiciele najważniejszej warstwy: chłopskiej. Ale do Czwartego pułku stosują się one w szczególności, bo on to właśnie od pierwszej chwili swego istnienia wniósł w boje polskie jakąś nową, chłopską tężyznę, świeży rozmach, od którego otuchą powiało w szeregach Legionów i na ziemiach polskich. — Utworzony w części z ochotników-chłopów — i to, podkreślić należy, chłopów z Królestwa — prowadzony przez oficerów, z których wielu wyszło z pod słomianej strzechy, Czwarty pułk Legionów wyzwał w zawody wszystkie wspomnienia historyczne, związane z owym sławnym regimentem warszawskich „andrusów”. Nieustraszony Karpatczyk, podpułkownik Bolesław Roja, uwziął się dorównać dzielnością własną i swoich zuchów bohaterowi Grochowa i Ostrołęki, Bogusławskiemu.

Dnia 15. lipca wyruszyli Czwartacy z Piotrkowa, aby, przekroczywszy Wisłę, spotkać się dnia 19. lipca z bry-

gada Piłsudskiego pod Urzędowem. Dnia 31. lipca, pod Jastkowem, na północny zachód od Lublina, wziął pułk czwarty chrzest ogniowy, który wsławił od razu młodego żołnierza i nowych laurów przysporzył komendantom. Młody rekrut z Królestwa okazał się równie dzielny, jak starzy Karpaczczy, którym nareszcie spełniło się marzenie o walce na terenie Królestwa ramię w ramię z Piłsudczykami.

W czterodniowej bitwie pod Jastkowem i Józefowem zdobyli Czwartacy podziękowanie komendanta korpusu

za swoje nieustraszone męstwo, które przyczyniło się do przełamania prawego skrzydła nieprzyjacielskiego. A choć stracili wielu rannych i zabitych oficerów i żołnierzy, nie stracili animuszu, ale tem większego nabrawszy rozpędu, wzywają w pisemku obozowem, „Czwartaku“, chłopów lubelskich do stawania w bratnim szeregu i ruszenia społem na dalsze boje z Moskwą. Tak rozpoczęli dzieje swojej sławy żołnierze Czwartego pułku, jak sami piszą: „z chłopów polskich, z polskiego ludu wyrosli“.

K. B.



Po ucieczce Kozaków.

Fot. Jeleniewski.

JÓZEF JEDLICZ: DUCHY OJCÓW.

O WIDMA, O DUCHY PRZEŚWIĘTE,
W NIESZCZESNYCH SYNACH PRZEKLĘTE,
GDZIEŻ WY ŻYWIECIE, O DUCHY?

— MIESZKAMY W ŚWITACH PRZEŚWIĘTE,
NIESIEMY JUTRZNIE OTUCHY
NAD ŁANY, GROZA TKNIĘTE...

O WIDMA, O DUCHY PRZESMUTNE,
IDZIECIE KRWIĄ SYNÓW ROZRZUTNE —
DOKĄD WIĘC, DOKĄD IDZIECIE?!

— W DAL, W DAL LECIMY PRZESMUTNE,
KREW IDZIEM ROZLAĆ PO ŚWIECIE,
TAM W MROKU, GDZIE PYCHY BUTNE...

WIĘC DOKĄD, NA JAKIM ŚWIECIE
KREW CZERWONA WY ROZLAĆ IDZIECIE?
DOKĄD TAK SPIESZNO WAM, KRWAWI?

— IDZIEM W NIEWOLI KRAJE
ZRUMIENIĆ TO, CO SIĘ MROCZY I ŁZAWI,
ROZKWIECIĆ JUTRZENKI I MAJE!

WIĘC LECICIE MROK Z JUTRZNIAMI OZENIĆ?
WIĘC LECICIE ŚWIAT KRWIĄ ROZCZERWIENIĆ?
WIĘC KRWI CHCECIE, KRWI CHCECIE, O DUCHY?

— IDZIEMY MROK I PODŁOŚĆ WYPLENIĆ,
KRZYWDY RDZAWE POKRUSZYĆ ŁAŃCUCHY,
BIAŁE Z LĘKU SERCA KRWIĄ ZARUMIENIĆ...

A JEŚLI, O DUCHY WŁADE,
JEŚLI IDZIECIE W ZAGŁADĘ,
JEŚLI GROM WAS W MROK ZMIECIE PROMIENNE?!

— I COŻ, ŻE TAM GROMY I MĘKI?
I COŻ, ŻE LECIMY W ZAGŁADĘ? — —
NASZE BICIA SERDECZNE
MOCNIEJSZE NAD ZGONY I LĘKI —
NASZE MAJESTATY PROMIENNE
JAŚNIEJSZE NAD ŁUNY SŁONECZNE,
ZŁOCISTSZE NAD BLASKI DZIENNE —
MY WIECZNE!!

W SIERPNIU, 1915.

JÓZEF JEDLICZ: WIARA.

JUŻ PŁUGI PRZEORAŁY NASZA ROLE CZARNA —
SIEWACZU, MEŻNE RĘCE ZAKASAJ CO ŻYWO
I W TE SKIBY RODZONE SIEJ WYBRANE ZIARNO,
ABYS — GDY DZIEŃ NADEJDZIE — ZEBRAŁ WIELKIE ŻNIWO!

LE CZ POMNIJ: W LECIE JAREM, OD POGODY ZŁOTEM
NIEJEDEN PĘD URODNY WIĘDNIE NA UPALE —
WIĘC SKIBY ZLEWAJ ŁZAMI WŁASNEMI I POTEM,
ABY ZIELONE KŁOSKI NIE ZWISŁY OMDLAŁE...

POTEM W ZIEMIĘ ZASIANA TCHNIJ SWA TWÓRCZA DUSZE
I, CHOĆ STRUDZON NAD MIARĘ, PILNUJ SAM OCHOTNY,
CHROŃ PRZED CHWASTY I WYTRWAJ W WIERZE I OTUSZE,
IŻ PRACA TWA DOJRZEJE I PLON DA STOKROTNY.

BO GDYBY NAWET ŻNIWO, KTÓRE LOS CI DŁUŻNY,
SKAZIŁY ZŁE ULEWY, BURZE STRATOWAŁY:
WIEDZ, ŻE SZCZERY, RZETELNY TRUD TWÓJ, CHOCIAŻ PRÓZNY,
ŻE TWA WIARA CUDOWNNA — PLON TO JUŻ NIEMAŁY!

WIĘC NIE LĘKAJ SIĘ KLESKI I PATRZ W PRZYSZŁOŚĆ ŚMIELE:
WIERNA ZIEMIA ZE ZIARNA KORZEC CI NAGODZI!
Z ŁEZ I ZNOJU WYKWITNIE ROZKOSZ I WESELE,
ZASIE Z DUCHA TWOJEGO POLSKI BÓG SIĘ ZRODZI...

Józef Jedlicz.



Łłan i dziewczyna.

Fot. z nat.



ARTUR GROTTGER

POŁONIA V. — SCHRONISKO.

POLSKO TY MOJA, GDY JUŻ NIEPRZYTOMNI
BĘDZIEMY — WSPOMNIJ TY O NAS! O WSPOMNIJ,
WSZAK MYŚMY Z TWEGO ZROBILI NAZWISKA
PACIERZ CO PŁACZE I PIORUN CO BŁYSKA...

J. SŁOWACKI.

Z D Z I E J Ó W G R O D N A.

Z długiego łańcucha twierdz rosyjskich, który ciągnie się z północy ku południowi, pękły w ubiegłym tygodniu dwa dalsze ogniwa: Luck i Grodno. Drugie z tych miast budzi w duszy polskiej kilka wielkich, żywych wspomnień: do XII. w. było stołecznym grodem udzielnych książąt, potem oswobodzone przez Tatarów, dźwigało ich jarzmo, aż synowiec Mendoga czyli Mindowsa, litewskiego Erdźwill z młodszą swoją bracią, tatarską dzicz odegnał i spustoszonem Grodnem zawładnął.

Wszystko to są jednak wspominki mniejszej wagi historycznej. Ważniejsze to, że Batory w swoich wyprawach moskiewskich z Grodna uczynił sobie — jakby się dzisiejszym wojennym językiem powiedziało — podstawę operacyjną i tutaj w czasie rozejmów królewską swoją kwaterę miał najczęściej; tu wojska zbierał, ćwiczył i stąd wyprawiał się na ponowne boje z Moskwinem. Nieśmiertelne imię króla Stefana związało się z Grodnem na zawsze, bo tu zaskoczył go w końcu przedwczesny zgon. W zamku, po dziś dzień stojącym, umarł 12 grudnia 1586. Ta niespodziewana śmierć, naj-sroższe nieszczęście, jakie ówczesną Polskę dotknęło — okryte jest nieprzeniknącą tajemnicą, bo już domysły współczesne przypisywały Zborowskiemu otrucie króla przez zemstę za ścięcie Samuela. Dochowała się jednak najdokładniejsza relacja z pierwszej ręki, bo spisana przez naocznego świadka, dworzanina Mrocza, z której zdaje się wynikać, że choroba królewska wzięła tak nieszczęsny obrót z winy dwóch nadwornych lekarzy, którzy przy łożu chorego spierali się zajadle, przepi-

sywali najsprzeczniesze sposoby leczenia, po zgonie zaś Batorego wzajemnie zrzucali winę jeden na drugiego i bodaj, że w tem słusność mieli obydwu.

I z tego względu zapisało się Grodno w dziejach naszych, że od drugiej połowy XVII w. zbierały się w jego murach sejmy generalne — po raz pierwszy w r. 1678.

Tragiczny wręcz był ostatni sejm grodzieński, rozbiorowy, w r. 1793, zwany „niemym“. Po dokonaniu drugiego rozbioru Polski, Rosya zażądała, by sejm zatwierdził jej nowe zabory: naród miał się shańbić, dobrowolnie zezwalając na odstąpienie ziem zabranych, a temsamem uprawnić gwałt na Rzeczypospolitej dokonany. Żądanie gabinetu petersburskiego było zbyt upokarzające, sejm wzbraniał się, a wszechwładny ambasador rosyjski baron Siewers nalegał nieubłaganie. Wojska rosyjskie otoczyły salę i miały rozkaz nie wypuszczać nikogo, póki nie zapadnie uchwała. Zrazu posłowie próbowali protestować przeciw tak niesłychanemu pogwałceniu wszelkiego prawa, król, bezwolna mara, w purpurze i gronostajach siedząca na tronie — litość budził swoją łękliwą małodusznością i czynił wszelkie wysiłki, by izbę do ustępstw nakłonić. Siewers nieugięty groził przemocą; wyjścia nie było. Sejm jednak trwał w uporze, a widząc bezskuteczność protestacyj — milczał. Godziny upływały, posłowie siedzieli jak nieme glazy, wzbraniając się głosować. Nakoniec, pod grozą bagnętów, ulegli. Najohydniejsze to, że gdy ambasador nazajutrz w dzień św. Katarzyny dał wielki bal na ucze- nie imienin Najjaśniejszej Imperatorowej, stawili się



wszyscy niemal, z żonami i córkami świetnie wystrojonymi; łańczono i pito na umór! Wkrótce po tym okropnym sejmie, oglądało Grodno w swoich murach jego dalsze skutki: Stanisława Augusta, złożonego z tronu. Kazala carowa tutaj wywieść z Warszawy w r. 1795 i tutaj wyznaczyła mu zamieszkanie. Dopiero w następnym roku, po śmierci Katarzyny, car Paweł I. zarządził przewiezienie Poniatowskiego do Petersburga.

Miasto zapisane tak tragicznie w dziejach polskich, ma jednak także i swoją chlubę: w Grodnie długie lata przeżyła, tu w skromnym, zacisznym domu najświe-

tniejszy okres twórczości literackiej spędziła, tu wreszcie umarła Eliza Orzeszkowa. Ta cicha kobieta w srebrnej koronie przedwczesnej siwizny, jej szlachetny talent, jej gorące serce, jej czysty żywot w niestrudzonej pracy dla narodu i to w tem samem Grodnie, gdzie tyle snuje się czarnych, smrotnych mar przeszłości — to najlepsze świadectwo, żeśmy już innej przyszłości wari, to zarazem ów, po stu latach podniesiony, święty protest, którego nie umiało podtrzymać tamto spodłone pokolenie, tańczące na pogrzebie swej własnej Ojczyzny.

L. R.

MAŁE OBRAZKI Z WIELKIEJ WOJNY.

Historia opisuje i opisz doniosłość wkroczenia „Strzelców“ Pilsudskiego do Królestwa Polskiego; opisz i poda fakta i daty „dziejów“ trzech tygodniowej administracji polskiej w guberni kieleckiej — na tem miejscu pragnę jedynie skreślić luźne obrazki z życia formującego się tamże wojska naszego, dzisiejszych Legionów, niby migawkowe zdjęcia dla pamięci...

Nasz oddział „forsownym marszem“ dochodzi do



Przy studni.

Fot. Langer.

Tumlina. Nowicyusze czuli się źle, bardzo źle z powodu gorąca i pragnienia. Budziły się pesymistyczne myśli o wygłodzeniu, o śmierci od słonecznego udaru, nieprzyjaciela natomiast nie było nigdzie widać. Roztopione słońce prażyło nieubłagane, przedzierało się promieniami popod daszek czapki i raziło wzrok jaskrawością. Marsz był cichy, widmowy, męczący, ludzie padali ze zmęczenia i głodu a wzrok z utęsknieniem błędził po szarej, ugornej okolicy w pogoni za wrogami. Oddział, przeszedłszy rzeczkę, posuwał się szeroką drogą leśną, mijając cudne, pełne kwiecica polanki.

Spoczynek. Na pniach drzewnych, porzuconych przy drodze, zgrupowała się „nasza paczka“, sześciu kolegów, podnoszących z naciskiem dane sobie nazwisko „żelaznej brygady“. — Wieczorny wiew pokonywał powoli upał dnia, wielkie, pożarne słońce chowało się poza szczyty drzew. I nagle — co to? W ciszy zapadającego wieczoru rozległo się przyciszone, lecz silne i męskie:

„Nie damy ziemi skąd nasz ród —
nie damy pognieść mowy
Polski my naród, polski lud —
Królewski szczep piastowy...“

A potem już naprzemian i o ułanie, co Krysię prosi o mazur ostatni, i o tym, co stoi na pikiecie a dziewczyna niesie malin dzban... „Paczka żelaznej brygady“

dokonała wielkiego zwycięstwa, oto zapomniano o głodzie i zmęczeniu, pierzchnęły straszne widma grozy wojennej. Nad głowami szarych wojowników niby utulna ręka „Matki-Ojczyzny“, powiał dech dawnych czynów bohaterskich, spuścizna ojców i dziadów — pierś rozszerzała się marzeniem o czynach Somosierry, Raszyna, Ostrołki. I to było pierwszym zwycięstwem.

*

Cudny, ukryty w powodzi kwiecica dworek szlachecki. Pracowite rączki „panienek“ wyplewiły grządki zarastające jesiennymi chwastami. Ogromny, szerokolistny słonecznik zwraca swą głowę tuż popod białe, roztwarte okiennice werandy. Szpalerami ciężkich, przykurzonych kwiatów, przechadzają się dwie córki pana domu w białych, kwiecistych sukienkach, z czerwonymi chusteczkami na zgrabnych główkach: niby maki w otoczeniu kwietnem. Jest dobrze popołudniu, wnet zmierzch zacznie ziemię do snu utulać — wrota przy bramie skrzypnęły. W ciasnej furtce usiłowała szara postać przeprowadzić konia. — Panienki sfrunęły na ganek: „Strzelcy! Strzelcy!“ — I wkrótce cała rodzina, służba, biegła oglądać gości, o których wieść dotarła już do owych stron...

...Wieczorem siedzieliśmy w kilkoro w dużym, staroświeckim salonie. Z ram patrzyły marsowe twarze przodków, niektóre jeszcze w „blachach“ na zbroicach z czasów augustowskich. Jedna z panien grała na fortepianie starą, niezamarłą „Warszawiankę“ — cicho wtórowaliśmy. Pani robiła robótkę — pan ciekawie wypytywał o siły, o organizację, o wodza... Lecz wszyscyśmy czuli, że tu, w tym starym dworku, prócz nas, jest jeszcze ktoś — jest duch niewygasłej tradycji — że przed oczyma przechodzą czasy 31. roku — czasy powstania. I my, jak tamci niegdyś, przyszliśmy z rekonesansu, zgłodniiali, jak w piosence: „Idzie żołnierz borem, lasem“; przytulono nas i nakarmiono.

Lecz miłość czyni zabory w szeregach strzeleckich. W ten wieczór — białe, wonne dłonie panienki przykuły w marzeniach serce Strzelca. Siedział z zapuszczonymi powiekami, śledząc nieśmiało biegłość paluszków na białej płycie klawikordu i snuł natrętne, tęskne a pełne bólu marzenia o szczęściu. Nie wierzył w zjawisko, szło bowiem coś dziwnego z tego cichego, spokojnego domostwa, powstawało w duszy jakby przecucie, że na dniu wszystkiego czuwa strach — niespodzianka — że lada chwila coś zniszczy, zaprzeczy szczęściu. W milczeniu długiego a spokojnego spoczywania, dla przyzwyczajających się do gwaru obozowiska i burzliwego życia potyczek — kryło się coś niezbadanego, coś, co musiało być straszne i groźne. A na tle tego wszystkiego uporczywie powracały marzenia o szczęściu wyzierającym z błękitnych, jasnych oczu panienki, z kibici smukłej i białych rąk — — —

Bał się, by ktoś z obecnych nie odkrył jego miłości, Jakto, „w czasie wojennym“, kiedy ojczyzna woła do broni on, którego już awans czeka, miałby rozślamazarniać się w kochaniu, miałby dopuścić do siebie straszliwą zmołę strachu o coś czy o kogoś. Wszak pierwszy strzał i trup pierwszy nie zrobił na nim wrażenia.

Niepewnym, bojaźliwym wzrokiem dawał jednak wyczuwać panience, że ją ubóstwia, a imię jej poniesie na ustach w bój, w chwili zgonu wyszepce z miłością. Przecież doczeka chwili, kiedy złoży pocałunek drżącymi wargami na dłońi ubóstwianej, a usta wyszepczą „kocham cię“ i — odejdzie z tą wielką miłością w sercu, niby z talizmanem, wiedząc, że ona ją zna, że wie o niej...

Rankiem zbudziła go ze snu trąbka alarmu. Większa patrol podeszła w tę stronę. Rekonesans przyłączał się do niej. Ze ściśniętym sercem szedł w pierwszym szeregu. W głowie szalała, burzyła się jedna jedyna myśl: „Kiedy ujrzy znowu jasną panienkę?“ Nad głową, wyprostowaną dumnie, szumiął smętnie wiatr, gdyż nadchodził już czas smutnej jesieni.

Porządkowałem właśnie bibliotekę w wielkiej sali posiedzeń dawnego biskupiego, a potem gubernatorskiego pałacu w Kielcach, gdy przebiegł przez pokój Wojnicz, wołając głośno: „Chodź! „Freiherr“ przyjechał!“ Zbiegłem krętymi, bocznymi schodkami w dół. Przed szerokimi bramami zajazdu stał automobil, z którego szybko i sprężysto wychodził wysoki, siwawy pułkownik — niemiecki komendant miasta. Pod zajazdem, na zaimprovizowanym „odwachu“ wrzało. Inspekcyjny oficer ustawiał z pośpiechem kilkunastu górali-Strzelców, starając się jaknajciszej zaimprovizować na przedce honorowe „baczność“ na cześć gościa. Lecz świeże „siły“ góralskie niezbyt dały się powodować — gość przeszedł, uśmiechając się dobrodusznie, zanim połowa ich stanęła w przepisanym szyku. Młody komendant niemógł wydarować sobie niefortunnego obrotu rzeczy — długo chodził tam i z powrotem, wyrzucając swym podwładnym nieumiejętność, wreszcie wpadł na „genialny“ pomysł. „Baczność być musi — krzyknął tuż pod nosem najbliższego — zrozumiano? Ponieważ nie umiecie wykonać tego szybko, ustawie was już teraz“.

I trzymał wyprostowany pluton góralczyków „pod bronią“ całą długą godzinę. — Skoro jednak wychodził pułkownik, z zadowoleniem zaszalutował go szablą, zdobywając uprzejmy ukłon wojskowy.

Otrzymali kwaterę na wysokim piętze „monopolu“. Wieczorem przed położeniem się spać na kamiennej posadzce strychu, otrzymali na pięć osób czwartą część bochenka chleba. Trudno — chwilowo zabrakło. Do komendanta zbliżył się szesnastoletni wyrostek. Staje „służbowo“, podnosi dłoń i prosi o przyjęcie kromki „razowego“, gdyż miał jeszcze ten kawałek w zapasie. Komendant wzbrania się — wreszcie dzieli chleb sumiennie na trzy części, woła młodzieńczego Strzelca



Ulan i panienka

Fot. z nat.

z twarzą niemal dziecięcą. „Masz — zjedz na zdrowie“. Małemu śmieją się oczy radośnie. Pełnym wdzięczności spojrzeniem obrzuca komendanta, a rękę wyciąga powoli, nieśmiało, choć znać, że w ogień by za nim skoczył.

Przed dworkiem wiejskim stoi krakowski wózek, na nim pop rosyjski, odwożony przez grupę uzbrojonych Strzelców do Krakowa. Komendant rozmawia z nim po rosyjsku. Pop jest zdenerwowany i ma strapiiony wyraz twarzy. Z woreczka wyjmuje ostatnie pieniądze, płacąc wieśniakowi za konie wygórowaną sumę. Wśród zebranych Strzelców słychać głosy protestu. Zawstydzony gospodarz zwraca popowi część pieniędzy. Duchowny ma niezmiernie zdziwioną minę i ze zdumieniem spogląda na nieprzyjaciół.

To okazanie wobec wroga sprawiedliwości wzbudziło w nim uznanie dla młodych polskich żołnierzy.

Życie w obozie nadzwyczaj miłe i wesołe. Rozchmurzają się twarze najzaciętszych pesymistów i mizantropów, czas płynie, ochoczo, dnie piękne dopisują — śpiewy rozlegają się ciągle. Nad biwakami zachodzi cudnie czerwone słońce, barwiąc szczyty sosen, niby wielkie, przeogromne zarzewie miłości i wiary w moc i życie Ojczyzny.

Maryan Albiński.



Zasieki

Fot. Langer.

W LESIE PRZY OGNISKU



W lesie przy ognisku.

Fot. z r. o. t.

ROK SZESZCZĄDZIESIĄTY TRZECI STANAŁ PRZED OCZYMA
 OBÓZ — OGNISKO — A MY Z OBLANEMI [MEMI.
 TWARZAMI OGNIA BLASKIEM
 SIEDZIMY CICHU... JENO ISKRY TRZASKIEM
 MILCZENIE MAĆA.
 KONIE POPĘTANE —
 A STARE DRZEWA TAK POOBWIESZANE
 WOKÓŁ SZABLAMI, PASAMI I GWERY —
 ŻE JAK ARSENAŁ WYGLĄDAJĄ SZCZERY...
 — SŁYCHAĆ JENO SZMERY

KROPEL, CO LECA Z DRZEW I TUPOT KONI.
 MANIERKĘ WRZĄCEJ KAWY KAŻDY DZIERŻY W DŁONI
 RAD NIEZMIERNIE, ŻE CIEPŁO DO WNETRZNOŚCI
 — KTOŚ JUŻ GADAĆ ZACZYNA — [WLEWA...
 KTOŚ NAWET JUŻ ŚPIEWA —
 A LAS SŁUCHA I DYSZY...

WOKÓŁ MNIE SIĘ ZEBRAŁO KILKU TOWARZYSZY —
 JAK PRZY MISTRZU — AŻEBY ZACZERPNĄĆ ROZUMU...
 ALE POWÓD BYŁ INNY: MIAŁEM FLASZKĘ RUMU!

B. Karpiński, legionista.

E. ROSZYŃCÓWNA: ROZMOWA O TĘSKNOCIE.

Dokończenie.

Pod wierzbą w rowie rzeczywistości siedziała skulona jakaś wiedźma czy żebraczka. Kraj spłowiałej chustki, którą była owinięta, nasunęła na twarz, tak, że chustka ta sterczała jej nad żółtym nosem, niby okap nad kominem. Bose nogi schowała pod obszarpaną spodnicę, a ślepe białe oczy szeroko otworzyła i w mrok wlepiała — snadź czeka na kogoś, kto z pól tuż, tuż ma nadejść. W rękach trzymała kądziel z nawiniętą garstką białego lnu i snuła z niej długie, cienkie nici, a co wysnuła, wiatr wyrывał je z rąk ślepej i rwał i rzucał na pola, na płowe trawy, na zczerniałe baldachy dzikiej marchwi.

— Daj wam Boże, babko — pozdrowiła starą panna Gabryela.

Stara ani mruknęła. Jakby jej nie słyszała.

— A to ją pani poetycznie ochrzciła — roześmiał się Kurlakowski. Szkoda, że nie Babą-Jagą albo Babą-Jędzą. A to kuma wprawdzie, ale nie Tęsknota, tylko najzwyczajniejsza Potachna czy Magda. Pijaczka jakaś czy obłąkana, bo nawet na pozdrowienie pani nie odpowiedziała. Pewno wybrała się z kądzielą na drugą wieś, na wieczornicę, prząść u krewnych, ale spiła się po drodze i pod drzewem odpoczywa. Czy często się tak upija pani tęsknota?

— Pan się znowu ze mnie śmieje!

— Wcale się nie śmieję z pani. Całkiem rzeczowe zapytanie. Moja kuzynka, hofratowa, ma kucharkę, która regularnie dwa razy na tydzień się upija. I także nie szampanem, ani też koniakiem... Nie biorę pani za złe jej wyboru tęsknoty. Choć nałogowa pijaczka i wcale nie powabna, ta pani tęsknota, przynajmniej jest dotykalna. Gdybyśmy byli chcieli, moglibyśmy byli ją złapać, ja za prawą rękę, pani za lewą i zaprowadzić na plebanię i zamknąć ją tam na klucz n. p. w komórcie na drzewo, i nie męczyłaby pani już więcej. Ja bo swojej wcale dosięgnąć nie mogę...

Rozmowa znowu się urywa.

Panna Gabryela człapie w milczeniu za Kurlakowskim po błocie i nad czemś znowu głęboko rozmyśla, bo marszczy czoło, zagryza wargi i wykręca sobie palce. Wreszcie wybucha.

— Więc pan jutro wyjeżdża?

— Powiedziałem.

— I nie przyjedzie pan więcej?

— Prawdopodobnie. Ukończyłem już ostatecznie pieńżne interesa z rodziną.

— Panie Józefie, a co będzie z nami?

Kurlakowski aż przystaje. Obraca się i patrzy na pannę Gabryelę, na jej śniady pyszczek, przykrótką

spódniczkę i rozczłapane trzewiczki. Szczególniej na ten jeden z rozwiązana tasiemką. O krok się cofnął i jeszcze patrzy.

— Co będzie z nami?

— Cóż ma być? — zaśmiał się swobodnie. — Kurytyna zapada, światła gasną, komedia skończona. Ale pani jest próżną, jak wszystkie kobiety, i chce jeszcze kwiatów i okłasków.

— Więc to była komedia?...

Piwnie oczy otwierają się szeroko, bardzo szeroko, jakby oglądały coś po raz pierwszy w życiu i bardzo się temu dziwiły. Zmętniały raptem. Kurlakowskiemu zaś się zrobiło dziewczyny.

— Pani z niezwykłym artyzmem odegrała swą rolę — rzucił jej w twarz uśmiech jak świeży kwiat, aż zatrzepotała powiekami. — Wezmę ze sobą wspomnienie małej bizantyjskiej świętej, co po złotym bukowym lesie chodziła z dyablem w rękawiczkach. I bała się trzmieła... I wspomnienie różowych astrów... I zachowam je długo w pamięci. Zgoda już?

— ...

— Cóż ...zgoda?

Panna Gabryela boi się otworzyć ust, by nie rozplakać się w głos.

— Zgoda?

A tymczasem nad ich głowami, tam w górze, niby ktoś poruszał tam i z powrotem ogromną wygasłą kadzielnicą, tak cicho i taki gęsty i siwy, niby popiół z wygasłej kadzielnicy, sypał się puch zmierzchu. Sypał się, a nie ustawał ani na chwilę. Pierwsza zgasła w nim świetlista otęcz nad lasem, potem sam las zapoczwarczył się weń, niby senna gasienica. Potem przepadły w nim jedna po drugiej wierzby. Teraz już nie widać pól. Zatopił je zmierzch, niby szeroko rozlana rzeka i bije leniwymi kręgami o brzeg — drogę. Teraz już nawet droga nie żółknie.

— Jak smutno i strasznie czegoś — zadzwoniła zębami panna Gabryela. — Wracajmy już do domu, proszę pana.

— Dobrze, wracajmy.

Wracają tedy.

Teraz przodem, potykając się co chwila i zatapiając trzewiczki z głośnym chlupotem w kałuże wody, drepcie Gabryela, a za nią, z rękoma wsuniętymi w kieszenie palta, sunie Kurlakowski.

— Proszę, niech pan patrzy, siedzi jeszcze pod wierzbą. Pewno zasnęła — obraca w jakiejś chwili dziewczyna ku niemu głowę.

Kurlakowski spojrział tam. Kuma-tęsknota siedziała jeszcze w rowie. Z rąk wypuściła kądziel i puste wrzeciono, ślepe oczy zmróżyła — snadź nie doczekała się tego, kogo wyglądała.

A może przeszedł mimo drogą i ślepe oczy nie dojrzały.

Panna Gabryela przystanęła. Zatrzymał się i Kurlakowski.

— Babulu, babko! — trąciła końcem trzewika siwe lachmany starej. — Wstawajcie-no! Wieczór już; czas wam do wsi.

— Ha?...

— Do wsi wracajcie. W polu na wilgoci i chłodzie zamrzecie do rana.

— To ty córeczko? Zdrzemnęłam się krzynkę, i stara — zgarniała wokół siebie lachmany.

Z pod obszarpanej spodnicy wychyliła się przeraźliwie chuda noga, mała, jak u siedmioletniego dziecka.

— Znacie mnie, babko?! — zadziwiła się dziewczyna.

— Kogo ja nie znam?... Tyś z plebanii, parochowa krewniaczka.

— To i mnie może znacie? — wtrącił Kurlakowski.

— Ciebie znam i matkę twoją znalazłam. Matka twoja chorowała na suchoty i umarła akurat wtedy, gdy się z drzew sypały żółte liście. Umarła w jednym roku z parochową żonką, która młoda, głupia, poszła do lasu i wilczych jagód się najadła. Byłeś wtedy taki malutki — pokazała na chudym, zakrzywionym jak ptasi szpon, palcu. — Teraz ty jesteś w wielkiem mieście. Gdzie mi iść tam za tobą?... Nie dopytałabym się do ciebie w takim mrowisku, zbłądziłabym, a zbłąkaną policaję zabrałoby jak włóczęgę jaką i zamknęliby do kozy. Już raz tak w powiatowym mieście, niby za to, że bez paszportu chodzę po świecie, siedziałam trzy niedziele w areszcie.

— A gdzie to wybraliście się babko?

— Z kądziela na wieczornicę. Siadłam sobie pod wierzbą, by odpocząć i zdrzemnęłam się krzynkę. — A wiatr-niecnota podszedł i len mi ukradł. I teraz nie mam z czem iść...

— Siedzieć wam, babko, za ciepłym piecem, a nie w taki ziąb chodzić po polach. Odlóżcie to sobie do wiosny.

— Iii — wyszczerzyła stara do dziewczyny półtora ostatniego zęba — albo mi to pierwszyczna! Przyjdzie jesień, to w błocie się babram, włóczę się po polach i z wichrem ugwarzam się do syta. A przyjdzie wiosna, to w przydrożnych rowach się wyleguję i stare kości wygrzewam na słońcu. W lecie chodzę sobie z dziadami na odpusty, wyciągam pod kościołem rękę i zdrowaśki klepię. A już nadewszystko lubię we żniwa wprosić się między żęnce i śpiewać z dziewczętami. Wiesz, czasem w samo południe nawet dziewczęta pomilkną, gorące i ciężkie jak ołów powietrze praży się w słońcu i ani drgnie, tylko, przytajony w zbożu, śpiewa sobie pasikonik i ja.

I nie pędzą was precz, babko?

— Nie pędzą. Lubią mię i obdarują nawet czasem. Raz, kiedy tak sobie w rowie leżałam, jakaś litościwa młodyca, co wracała z jarmarku, wzięła mię za żebraczkę i miedziany grosik w rękę mi wetknęła.

— Toście wy nie żebraczka? — wtrącił Kurlakowski.

— A wiadomo... — zachnęła się stara.

— Niech pan da pokój, przecie mówiłam panu kto ona — szepnęła panna Gabryela. — I co zrobiliście babko z tym grosikiem?

— A cóżby? — roześmiała się stara. — Przepiłam sprawiedliwie.

— Naturalnie! — wtrącił znowu Kurlakowski.

— Niech pan da pokój...

— Niech się wydziwiał, kiedy taki głupi — odezwała się stara. — Kiedy byłam młoda, to rozgrzewałam się całunkami. Czemuże rozgrzewać się będę na starość? Nie tacy, jak on, mię całowali, nie takich ja kochałam...

— Babko, to sam panicz z naszego dworu — zmiotygowała ją panna Gabryela.

— Choćby!

— A kogo babko kochaliście?

— Kogo? Sam miesiącek jasny na niebie.

— Waryatka albo lunatyczka — wtrącił znowu Kurlakowski.

— On był wesolym, złotowłosym pazikiem na dworze samej Najświętszej Pani, ja młoda dziewczyną i kochaliśmy się bez miary. Miałam wtedy jeszcze dobre oczy i warkocze po pięty. On miał dobrą służbę. Całymi dniami wylegiwał się w złotych pokojach

i tylko kiedy niekiedy, gdy jaki malarz portret niebieskiej Królowej malował, kładł jasną swoją głowę dla większej parady u Jej świętych nóg. To była cała jego praca. A caluteńkie nocy całowaliśmy się.

Stara umilkła. Jakby się zabłąkała w kraju wspomnień!

— Słyszał pan? — szepnęła cichutko panna Gabryela.

— Romans kumy-łęsknoty z kmiotrem-miesiącem — uśmiechnął się tak samo Kurlakowski.

— Teraz już pan wierzy, że to ona.

— Nie wierzę wcale.

— Ale przynajmniej przestał pan drwić...

— Zaraz zacznę na nowo.

— A czemu babko nie pobraliście się ze swoim kochankiem?

— Nie było sposobu.

— Może posagu — wtrącił znowu Kurlakowski.

— Prosił mi Boga-Ojca — ciągnęła dalej stara. — On prosił i ja prosiłam. Sama Najświętsza wstawiała się za nami, że to przystojniej byłoby, bo bąk mały płatał mi się dokoła nóg. Na nic. Jemu sądzone było po niebie chodzić, a mnie po ziemi.

— A potem, babko?

— Potem zęby mi wypadły i przywiedły usta, jak pieczone jabłko, lzy zjadły oczy, więc nijak mi było do całowania. On zestarzał się i spał na niebieskim chlebie i nijak mu było dłużej służyć za pazia. Więc Święta Panna, ceniąc jego wierne służby, mianowała go ochmistrem Swego niebieskiego dworu. Przybrała go w bekieszę ze szczerolotej lamy i darowała mu sutą czapę z lisiego futra, aby sobie nie zaziębł łysiny i kataru się nie nabawił. A przybrawszy tak starucha, wyprawiła go na niebieskie ogrody i gwiazd, Swego fraucymeru, pilnować mu nakazała, żeby się gwiazdy w romanse z poetami albo aniołami nie wdawały i nie czyniły zgorszenia w niebieskim kraju. Opowiadał mi ile ma z niemi kłopotu... Z jedną szczególnie, najmłodszą i największą zalotnicą. We... Weronka, czy jakoś inaczej jej na imię. Na świętego Michała ciągle zerka... Podobały się jej guziki na mundurze świętego.

— Wspomnieliście babko o dziecku... Co się z niem stało?

— Dziewczyna była. Miała włosy jasne, jak ojciec, a oczy przejrzyste, niby źródłana woda.

— Słyszy pan? — szepnęła cichutko panna Gabryela.

— Słyszy pani! — szepnął z tryumfem Kurlakowski.

— I gdzie zaprzepaciłaś ją stara?

— Ledwo ją odchowalam, porzuciła ślepą matkę i uciekła do miasta na służbę. Puściła się. Mówili mi. Nosi jedwabne spodnice z ogonami, kapelusze z papugami czy innymi piórami...

— I inne dyabelskie wymysły — wtrącił pan Józef.

— Umączyła sobie twarz i podczerniła węgłem oczy. Włóczy się wieczorami po ulicach. Ty jedziesz do miasta, pewno ją spotkasz. Wspomnij jej o starej matce. No, bywajcie zdrowi...

Babula dzwignęła się z ziemi, zabrała pod pachę kądziel i wrzeczono i nasunęła na oczy chustkę. Skinęła ręką panu Józefowi i pannie Gabryeli i skreśliła w szczerze pola.

— Babulu, wróćcie się, zesłiście z drogi — wołała nią Gabryela.

Stara ani obejrzała się.

— Utopi się babsko w błocie — zaśmiał się Kurlakowski.

Wracali w milczeniu. Panna Gabryela szła ze zwieszoną głową i nie odzywała się ani słowem do towarzysza. Kurlakowski całą swoją uwagę skierował, aby nie pogubić w błocie kaloszków. Zdawało mu się wprawdzie, że od czasu do czasu słyszy u swojej towarzyszki podejrzanę pociągnięcie nosem, jak kiedy człowiek wstrzymuje płynące gwałtem przez nos lzy.

Za nimi, nieco z boku, rozmiękłymi ugorami szła kuma-łęsknota. Kurlakowski nie obracał się, ale czuł ślepą wiedźmę za sobą. Szła zdala, skradając się. Chwilami stawiała, kręciła głową, wyciągała w ciemności chude ręce, jakby obmacywała jej tylko wiadomą drogę, i znowu szła. Tak doszli do wsi. Zaczerniały pierwsze sady. Zamrugwały czerwonymi, niby króliczemi oczyma pierwsze chaty. Kurlakowski zobaczył jeszcze ślepą kumę, jak, dyndając bosymi nogami, przelażyla przez chróściany płot pierwszego sadu, na kraju wsi. Potem przepadła w czarnej nocy i splątanej gęstwinie półdzikich grusz i jabłoni.

W jakiejś tylko chwili, w głębi tych sadów, zajadłe zaszczekały psy. Snadź opadły stara.

Panna Gabryela podała Kurlakowskiemu rękę bez słowa. Bez słowa odszedł. Dziewczyna wsunęła się w ścieżkę między opłotkami.

LUCYAN RYDEL: DOKUMENTY WSPÓŁCZESNE.

Przywykliśmy do tego, że nowoczesne życie parło naprzód z gorączkową, niewidzianą dawniej szybkością, i nie tylko jego zewnętrzna strona, jego powierzchnia, przekształcała się pod wpływem technicznych zdobyczy i coraz nowych wynalazków, przeżyte formy rozspypywały się w gruz przed naszymi oczyma; ale stokroć jeszcze prędzej ulegała przemianom strona życia wewnętrzna: mieniające się ustawicznie prądy umysłowe, przepływały i przeradzały się z każdym niemal dziesiątkiem lat. Nie dziw, że od nas, ludzi nowoczesnych, przeszłość oddalała z tem większą chyżością, a my, z łęsknotą i żalem spoglądaliśmy nieraz, jak mijala i zapadała się w bezpowrotną otchłań czasu. Malo komu jednak przechodziło przez myśl, że wśród wartkich i rwących nurtów życia, gdziekolwiek ostaly się nieruchome w swej nieodmienności wyspy samotników, odciętych od świata, którzy wrosli w tradycje minionych stuleci i są ich żywym zabytkiem — : klasztory.

Cały tryb i ustrój życia klasztornego, tok myślenia i rodzaj uczucia, sposób zachowania się i wyrażania, wszystko, aż do rzeczy tak zewnętrznej jak suknia zakonna — pozostało niezmiennione i przypomina żywcem inne, umarłe wieki. Gdy sobie chcemy tę przeszłość w myśli wskrzesić i pełny obraz dawnej Rzeczypospolitej wywołać, mimowoli staje nam w oczach taki sam jak dzisiaj habit zakonny, tuż obok szlacheckiego kontusza i skrzydlatej zbroi husarskiej, obok mieszczkańskiej, staroświeckiej kapoty i chłopskiej siermięgi. — Wszak ten habit zakonny znalazł się na pierwszym planie w najcudniejszym obrazie dawnej Polski, jaki wycharowała nasza poezja: uczucie i geniusz Mickiewicza odmalowały żywcem arcytyp zakonnika polskiego, zamasztyście istic po żołniersku, jowialny i rubaszny, a jednak aż do bohaterstwa patriotyczny,

I ubrały mu złotem oblicze i skronie,

Że błyszczał, jako święty w ognistej koronie



Kys. L. Gottlieb.

W ślad za X. Robakiem, poszły nie tak świetne, ale niemniej prawdziwe i typowe postaci klasztorne w Chodźki *Pamiętnikach Kwestarza*, w poematach Syrokomli, Pola i tylu innych, aż do klasycznego X. Muchowieckiego w *Sienkiewiczowskiej powieści*.

Ten wielokrotnie powtarzający się w przeróżnych odmianach typ zakonnik, nie był przecie poetyckiem zmyśleniem; na świadectwo swojej prawdziwości miał całą historyczną rzeczywistość: jego najwyższe, heroiczne pierwowzory, to Skarga, z ogniem w oczach, wołający Jeremiaszowym głosem na sejmach, to Kordecki, biejący w paulińskim habicie wśród gradu kul na murach Częstochowy, to X. Marek, swemi prorocztwami porywający hufce Konfederatów Barskich, aż do tych polskich mnichów, co z gołą głową i krucyfiksem w rękę biegli na czele powstańców w r. 1863 i z uśmiechem na ustach szli pod moskiewską szubienicę.

Na widok dzisiejszych zakonników, niekiedy budziło

się w duszy pytanie, czy oni do tamtych, staropolskich podobni są tylko zewnątrz, surowością klasztornej życia, rubasznym zacięciem, jowialnym humorem, czy także i wewnętrznie, gorącością patriotycznych uczuć? Prawda, czasami podziwiał się między nimi nadziemską świętobliwość i męczeńską miłość Ojczyzny w takim O. Wacławie Nowakowskim, na zawsze dla Krakowian pamiętnym Kapucynie-Sybiraku — ale inni? ale ogół?

Odpowiedź na te pytania przyniosła Wielka wojna: z poza kraty klasztornej, z cichych, bielonych cel, na świat szeroki wyprowadziła niejednego zakonnik, postawiła go w szpitalu wojskowym nad wezłowiec rannych i konających, albo na polu walki przy boku naszych Legionistów. I pokazało się dowodnie, że i dziś pod habitem bije takie samo zarliwe polskie serce, jak niegdyś; że poprzez rubasznajowialną staroświecczną form klasztornej, prześwieca duch starodawnych zakonów polskich.

Zbytecznym byłoby stwierdzać tutaj rzecz uznaną, że w tych najcięższych czasach ogniowej próby, cały nasz kler i świecki i klasztorny w całej pełni stanął na wysokości wzniesłego swego posłannictwa, jako pasterz i przewodnik, opiekun i obrońca nieszczęśliwego ludu polskiego. — Zbyt wielkie są we wszystkich dzielnicach polskich biskupie i kapłańskie poświęcenia i zasługi, żeby je można tutaj mimochodem oceniać. Tym razem poprzestajemy na ogłoszeniu kilku niedrukowanych „dokumentów współczesnych“, które zawdzięczamy X. Janosze, Exprowincyałowi krakowskich OO. Kapucynów. Pisma te powstały w klasztornej celkach i są nader wymownym i charakterystycznym wyrazem polskiej duszy zakonnej, która od wojen szwedzkich

i czasów rozbiorowych nie zmieniła się ani na jotę. I w uczuciach i w sposobie ich wypowiedzenia podzwania jakby echo *Nowej Gigantomachii* Kordeckiego. Należałoby na tem miejscu przeprosić Wielebnego X. Exprowincyała, że pisma, nam uprzejmie udzielone, które on zowie „nieudolnemi szkicami“, drukujemy bez żądanej przezeń literackiej korekty, bo do tych utworów klasztornej pióra trzeba zastosować słynne papieskie słowo, wypowiedziane przy kassacie zakonu Jezuitów: *Sint ut sunt aut non sint*.

Wolno chyba mieć nadzieję, że inteligentny czytelnik, w którego duszy nie brak żadnej polskiej strony, znajdzie w sobie żywy oddźwięk dla tych szczerych a tak znamienych akcentów, zakonnego patriotyzmu i daleki od niewczesnych, tanich drwin i sceptycznego wzruszenia ramionami — czytając, uśmiechnie się czasem... przez łzy.

* * *

O. Kosma Lenczowski, kapelan I. Brygady Legionów Polskich.

Rok temu, 7. sierpnia 1914, w piątek, z Książęcą Biskupiego upoważnienia, do klasztoru OO. Kapucynów krakowskich przybyli Ks. Dr. J. Caputa z p. Drem Tokarzem i prosili O. Gwardyana Maryjana o księdza na Kapelana Wojsku Polskiemu. Niezmiernie doniosłe życzenie i szaczone powołanie przypadło w udziale najmłodszemu z kapłanów zakonnych, O. Koźmie Lenczowskiemu, który — bez restrykcji, namysłu i lęku — z radością natychmiast w tym samym dniu o godzinie oznaczonej udał się do Parku Jordana i tam przez władzę Legionów przedstawiony zebrany szeregiem I. Brygady Wojsk Polskich, z żywej ambony — na prośbę z wysokich legionistów rąk i barczystych plec przyrządzonej — przemówił jedynie o ważności i celu wymarszu w Imię Boże, z pomocą Bożą, na zbawienie Ojczyzny: „Wymarsz ten, w bój zacięty wszechświatowy“ błogosławił modlitwami z Itinerarium in viam bellicam, życząc prosperitatis, pomyślnie zwycięskiego pochodu. — Błogosławiony to naród, który idzie w Imię Pańskie“. Po błogosławieństwie przeczytano rozkaz Komendy: „Jutro alarm o drugiej rano, zbiórka przed trzecią, wymarsz z Krakowa I-szej Kadrowej Kompanii Wojsk legionowych o czwartej“. W kościółku Kapucyńskim o 2. po północy, O. Kosma w asystencji Zakonnej Braci, odprawiający o błogosławieństwo wyprawie cichą Mszę św., poszedł w szeregi kapelanować Legii Polskiej.

Po dwunastu miesiącach tarapaty, mordegi wojennej, zachorował i do Krakowa na kurację przysłany, w klasztorze, wśród zaufanych przyjaciół i zakonnych Braci obchodził rocznicę wymarszu dnia 8 sierpnia, w niedzielę; dziękczynną odprawiający Mszę św., przyjmował gratulacje i upominki. Podczas obiadu jeden z Ojców, wiekiem najstarszy, wnosząc na jego cześć toast, między panegirycznymi zwrotami przytaczając wiersz: „Gdy nieprzyjaciół na to się usadził, by nas w Ojczyźnie dziś głodem wygładził“ wręczył kapelanowi podplomyk, placek w upominku — przez Polki pieczony — na polskim kominku — a przez O. Anioła Madejewskiego z Wiednia przywieziony — kwieciem i laurzem u nas ozdobiony — i dodał: „Spożyj ten symbol życia — niech jak Elizeuszowi — do dalszej podróży — Mickiewiczowskie 44. — Milionowi służy — spożyj z Legionistami — idź dalej — zwyciężaj i wracaj z trofeami. — Po roku jesteście silniejsi męstwem i zwycięstwem. Wolnością sławniejsi. A Legiony mnożą się w Armie. Cześć Wam w rocznicę pierwszej zbiórki do wymarszu. Cześć Wam po odzyskaniu Polski!“

Aczkolwiek ciałem jesteś Kosmo mały,
Po roku walki na polu chwały
Z połącznym rozmachem —
Wielkim się stałeś Kosmachem.
Przez Legiony dziś jesteś czczony
Ojcie Kosmo! módl się za Miliony,
Miej Armie legii — bądź czczony,
Kazania krasne mów,
Kapelanuj nadal, zdrów“.

Mowca tego toastu, który chwilami przypomina oracyę X. Muchowieckiego na pogrzebie pana Wołodyjowskiego, jest również autorem wiersza, który niemiernie zasługuje na powtórzenie w całości, bo jest klasyczną próbką muzy klasztornej, zamasztej i jowialnej w swoich formach, a pełnej patryotycznego zapału:

Kapelanowi Legii I. Wojska Polskiego, O. Koźmie.

Zawrzał huragan wojennej juryi,
Wstrząsnął duszą polskiego narodu;
Przyszło poselstwo z Konsystorskiej Kuryi
Do Kapucynów krakowskiego grodu,
Prosić O. Gwardyana — o Księdza Kapelana,
By jak ks. Marek *) wojskom króla Sobieskiego,
Tak on dzisiaj Piłsudskiego
In viam bellicam pobłogosławił
I w szeregach z wojskiem bawił,
Słowem Bożem jako święty,
W wszechświatowej zawierusze,
Krzepił młode polskie dusze
Niebieskimi Sakramenty.
Ojciec Gwardyan z grona swego,
Dał im ks. Lenczowskiego,
Ojca Kosmę z Maniów rodem,
By z dzielnyim w bój szedł narodem.

Poszedł ochocz, dziarsko, z zapalem,
Przejęty na wskrós wzniosłym ideałem,
Dwanaście miesięcy z Legionami,
Przeszedł kampanię górami, lasami,
Na polach bitwy nieustraszony,
Tu i tam, na wszystkie strony
Wyteżał wzrok, nadstawiał słuch,
I pędził wskok, gdzie jęknął druh
Kulą ugodzony. — Nachylał skroń —
Podawał dłoń — podnosił. — Viatyk mu przynosił
Rozrzewniony...

Nad konającymi od zmroku do rana,
Wzorem Chrystusa — mistrza — Pelikana
Wśród wichru i mrozu czuwał przy łożu
Kochał Legiony!

Pod jego nogi bomby się stały,
Szrapnele rojem nad nim pryskały,
On wesołem czołem przeciw strzałów grozie
W słońca skwarze lub na mrozie,
Tak w polu jak w obozie był aniołem
Wybawicielem — ojcem, przyjacielem.
Nosił Chrystusa i dawał w darze.

Zawrzała walka zaciekla.
On z rąk hydry wroga, z piekła
W wszechświatowej zawierusze
Z niewoli wyrzywał dusze...

W Laskach, pod Dęblinem, w Krzywopłotach,
Pod Tarnowem, w Pleśni, Ożarówem i Tartowem
Nad Dunajcem i nad Nidą
Przez rok wszędzie walczy z wojny biedą
Nie znużony, wspiera, kocha Legiony.

Cześć Ci heroldzie, rycerzu ducha —
Przez Ciebie splywa w Legie otucha.
Cześć Ci za trudy, wojenne znoje
Dziś Ci składają Kadry Twoje.
Z miłości Tobie pieśń układają
I tak śpiewają:

Mamy Księdza Kapelana,
Co ma habit po kolana,
To nasza miłość jedyna,
Zawsze słodka jego mina.
Nasz Kapelan konno jedzie,
Zawsze wino słodkie wiezie.

*) O. Marek d'Aviano.

Nasz kapelan ma hiszpankę,
Wąsy, burkę i nahajkę,
A nikogo się nie boi,
Moskali nahajką łoji.
Nasz Kapelan Ksiądz wzorowy,
Do obsługi wciąż gotowy...

Cześć Ci Wojsk naszych pierwszy Kapelanie
Kosmo, ozdobo nasza,
Aczkolwiek ciałem — mówią — jesteś mały,
Po roku walki na polach chwały
Wielkim dziś jesteś, przez Legiony,
W każdą rocznicę z kadrą będziesz czczony,
Ojcie Kosmo — niech z Tobą wzrosną,
Legie w miliony...

W rocznicę kapelanii Legionowej, 6 sierpnia 1915.

Br. Flor. z Haczowa.

Ale może najbardziej charakterystyczna i najbardziej rozrzewniająca jest notatka o „legionowym zbożu“. Cała naiwna, uboga poezja klasztornych wirydarzów i zakonnego życia, cały barokowy alegoryzm staropolski, cała najczystsza miłość Boga i Ojczyzny odbija się w niej przedziwnie:

Legionowe

Dwie garście żyta i dwie pszenicy
Zżęte, wymłócone na obchód Roczniczy:

6/8 1914 — 6/8 1915.

W łońskim roku u OO. Kapucynów krakowskich w klasztorze przebywały na kwaterek Legionów kompanie czasami tak gromadnie, iż dla pomieszczenia ich w celach nie było miejsca. Wtedy słano słomę w kwadracie czyli klaustrum tuż przy kościele — obok grobowców Konfederatów Barskich, kędy rosły kwiaty bratki i tulipany, lilie, narcyzy, primule. Po zebraniu słomy, wytrzęsione ziarna żyta i pszenicy — zasiały się na grządyczkach, powschodziły i bujne wydały plony. Ogrodnik Br. Marcin, oszczędzał, pozwolił dojrzeć, a w rocznicę wymarszu Legionów, 6 sierpnia O. Floryan z Br. Klerkiem Michałem zżęli je i w ogrodowej altanie na marmurowym stole fundacji Dembińskich wymłócili, wywiali i na pamiątkę schowali. — Ktoby życzył sobie nabyć porcyjkę tego żyłka lub pszeniczki, może do klasztoru zgłosić się w dzień powszedni. Warunek atoli jest ten: Żyto zasiać na doborowej glebie w polu na wsi — wypielegnować, rozmnożyć i na dobry cel w przyszłym roku sprzedać.

O. Floryan, Kapucyn.

POLSKIE ARCHIWUM WOJENNE W WIEDNIU.

(PATRZ ZESZYT 6.)



.. ciśniejszy Wydział Komitetu „Polskiego Archiwum Wojennego“ z prof. Dr. Semkowiczem (x) na czele.